

Sól trzeźwiąca na ludzką megalomanię

Jak wyglądałaby Ziemia, gdyby nasz gatunek nagle z niej zniknął? W tym pytaniu zawarty jest zarys odpowiedzi, jaką daje główna część książki Alana Weismana „Świat bez nas”.

Biorąc ją do ręki, spodziewałem się znaleźć rozwinięcie tezy znanej już biologom (np. M. Ryszkiewicz, *Ziemia i Życie - rozważania o ewolucji i ekologii*, 1996), że człowiek nie jest (jeszcze) w stanie zniszczyć życia na Ziemi, ani swego gatunku, choć może unicestwić obecną cywilizację (C. Sagan, *Miliardy, miliardy - rozważania o życiu i śmierci u schyłku tysiąclecia*, 2001). Oraz rozwinięcie drugiej tezy, że nie jesteśmy najważniejszym z gatunków na tej planecie, jak to wmawiały nam stare wierzenia. Dzisiejsza wiedza empiryczna dowodzi jednoznacznie, że dla trwania życia na Ziemi ważniejsze są istniejące na niej od paru miliardów lat bakterie, następnie organizmy zdolne do fotosyntezy, a także choćby termity, mrówki czy owady, w tym te młodsze - pszczołowate - zapylające kwiaty roślin. Ich zanik byłby prawdziwą katastrofą dla ziemskich ekosystemów, podczas gdy zniknięcie człowieka - wręcz przeciwnie: zatrzymałoby wymieranie gatunków i umożliwiło rozkwit przyrody. Świadom tego był już Albert Einstein.



Książka A. Weismana rozwija te tezy w stopniu istotnym, podpierając je szczegółowymi przykładami i argumentami, które powinny zasiać ziarno zwątpienia nawet w takich umysłach, jak polskie, od pokoleń zadrukowanych poglądem, iż to my - półbogowie - jesteśmy ostatecznym CELEM ewolucji życia na planecie. Autor nie skupia się jednak tylko na tym drugim aspekcie, lecz rozwija wnikliwą, wiarygodną (bo skonsultowaną z wybitnymi specjalistami) i opartą na odważnym eksperymencie myślowym wizję przyszłych losów Ziemi, gdyby przypadkiem nas zabrakło.

Wizję tę podbudowuje przykładami empirycznymi, kiedy to przyroda uwolniona lokalnie od człowieczej presji znowu rozkwita, starając się opanowywać nawet silnie zurbanizowane obszary, jak np. teren Nowego Jorku. Analizuje zjawiska i procesy, które wkraczają do akcji, gdy tylko gdzieś w antropogenicznym środowisku zabraknie kontrolnej i naprawczej aktywności człowieka. Miejsca takie można badać nie tylko w pozostałościach cywilizacji Khmerów, Majów czy Wyspy Wielkanocnej, ale i w bezludnej strefie wokół Czarnobyli, w zdemilitaryzowanej strefie między obu państwami koreańskimi lub w podobnej na Cyprze. Autor snuje wizję, że gdyby pozostawić bez nadzoru rafinerie Teksasu czy Bliskiego Wschodu, to rychło nastąpiłyby ich awarie oraz pożary naturalnego pochodzenia. Porzucone szyby naftowe płonęłyby przez dziesięciolecia aż do wyczerpania się złóż ropy lub gazu, potężnie zanieczyszczając atmosferę. Podobnie kilkadziesiąt elektrowni jądrowych, jeśli uprzednio nie wyłączonych, mogłoby eksplodować z przegrzania lub ulec pożarom choćby od piorunów, skażając radioaktywnie wielkie obszary Ziemi na milion lat. Skażenie radioaktywne nie jest jednak tak groźne dla przyrody, jak dawniej sądzono, gdyż u wielu gatunków tylko przyspiesza ono następstwo pokoleń (osobniki żyją krócej, ale skutecznie się rozmnażając i mutując nadal zapewniają trwanie swych gatunków).



Beskid Niski. Fot. Krzysztof Wojciechowski

Narracja książki utrzymana w stylu luźnych opowieści jednostkowych (przykładów) nie jest ograniczona do rozpatrywania zdarzeń przyszłych. Opisy przeszłości, teraźniejszości i przeszłości przeplatają się wzajemnie (miejscami trochę chaotycznie), wciągając czytelnika do podróży w czasie. Kilka rozdziałów omawia wyłącznie przeszłość: ewolucję ludzi lub pewnych grup zwierzęcych oraz stan fauny przed przybyciem człowieka na dany kontynent. Służy to pokazaniu, że niszczenie

przyrody i środowiska trwa od wielu tysięcy lat, czego przykładem jest tzw. Wielkie Zabijanie (Overkill), w książce nazwane nietrafnie „Blitzkriegiem”. Opisuje, jak przybycie z Azji ludzi Clovis doprowadziło w ciągu kilku stuleci (do tysiąca lat) do całkowitego wyniszczenia 70% gatunków tworzących dawną faunę wielkich ssaków Ameryki Płn. Obecnie Wielkie Zabijanie megafauny przeniosło się na ostatni kontynent bogaty w wielkie formy, czyli do Afryki, a także na obszar oceanów, gdzie trwa bezlitosne wyniszczanie wielorybów, rekinów, fok i wielkich żółwi. Autor zatrzymuje się też nad przyczynami upadku cywilizacji Majów, uwypuklając podobne do dzisiejszych przerosty konsumpcyjne u ówczesnych kast uprzywilejowanych, co doprowadziło do wyeksploatowania ziem uprawnych, niedożywienia ludzi-wytwórców i wybuchu totalnej anarchii.

Za główną zaletę książki uważam skupienie uwagi na względnej nietrwałości naszego czasu i na „śmiertelności” większości naszych wytworów, nawet największych budowli w rodzaju Muru Chińskiego, piramid egipskich czy najwyższych wieżowców i najdłuższych mostów. W razie zaniechania bieżących napraw, wszystkie te konstrukcje bardzo szybko, w ciągu paru miesięcy czy lat, zaczęłyby ulegać stopniowemu rozpadowi. Autor rozprawia się też z kilkoma mitami. Wykazuje na przykład, że większość zawartości wysypisk śmieci, to nie tworzywa sztuczne (stanowiące 20%), lecz przede wszystkim odpady budowlane i papier. Przy czym ten ostatni bez dostępu tlenu i wody może tam trwać przez ok. 10 tys. lat. Wstrząsające są zwłaszcza dane o stopniu zaśmiecenia oceanów plastikami, w tym opis dryfującej Pacyficznej Plamy Śmieci o wielkości małego kontynentu (około 26 milionów km²), oraz o dramatycznych tego skutkach dla morskiej fauny.



Beskid Niski. Fot. Krzysztof Wojciechowski

Naszą nieufność wobec niektórych zaskakujących ocen oraz przewidywań autor niemal każdorazowo osłabia odwołaniami do opinii konkretnych badaczy i wyników badań. Wsparcie to bywa wywiadami i konsultacjami fachowymi, przeprowadzonymi z licznymi praktykami, w tym z projektantami i architektami, specjalistami od budowy mostów, inwestorami, leśnikami, muzealnikami, paleontologami, chemikami, astrofizykami, pisarzami, wojskowymi itp. Wymagało to licznych podróży autora nie tylko w obrębie Ameryki Płn., ale także do macierzystego kontynentu wszystkich ludzi (Afryki), jak i do różnych rejonów Ameryki Środkowej, Europy Środkowej, na wyspy Pacyfiku.

Książka składa się z czterech części. Najpierw omawiana jest przeszłość przyrody i współczesne jej ubożenie z powodu presji człowieka (cz. I), potem rozpatrywane jest to, „co się w proch obróci oraz to, co ma szansę przetrwać w świecie bez człowieka” (cz. II). Takie uporządkowanie nie jest konsekwentne, gdyż Puszcę Białowieską jako symbol zachowanego na łądach stanu pierwotnego omawia się w części I, podczas gdy podobny symbol niezaburzonego ekosystemu oceanicznego – rafę koralową Kingman w środkowym basenie Pacyfiku – dopiero na końcu, w części IV. Opis rozpadania się domostw i osad ludzkich znalazł się nie w drugiej, lecz w pierwszej części. Podobnie rozdział o dotychczasowym i możliwym przyszłym losie wielu ptaków znalazł się pomiędzy „Światem bez wojen”, a „Świetlistym [czytaj: radioaktywnym] dziedzictwem”, rozbijając spójność tematyczną części III. W części IV jest rozważane pytanie „Dokąd zmierzamy”, przy czym jeden z najważniejszych rozdziałów, „Nasza Ziemia, nasze dusze”, przerzucono na koniec, czyniąc zeń jakby podsumowanie książki. Nie jest to jednak streszczenie wniosków, lecz zupełnie nowa, krótka, acz celna charakterystyka globalnej demografii człowieka i jej skutków. Część IV jest rozbita rozdziałem „Sztuka po nas”, rozważającym, co i jak długo pozostałoby z czołowych osiągnięć naszej kultury i sztuki, choć zagadnienie to widziałbym raczej w cz. II.



Kirkut w Cieszynie. Fot. Krzysztof Wojciechowski

Może taki układ książki sprawił, że przynajmniej dla mnie, niektóre jej rozdziały (zwłaszcza te w części II) wydają się marginalne wobec głównej tematyki. Zastanawiam się też, czy niektórych barwnych historyjek o poszczególnych procesach fizykochemicznych i biologicznych nie byłoby lepiej zamieścić w odnośnikach do tekstu, albo w wydzielonych boksach. Każdy rozdział można też było zakończyć akapitem konkludującym. Jak choćby takim wnioskiem, że jako najtrwalsze pozostałości po ludzkości mają szansę nadal istnieć gdzieś we wszechświecie, nawet po setkach tysięcy czy milionach lat, pewne wysłane w kosmos plakietki z metali szlachetnych i brązu, fale radiowe i telewizyjne oraz kilka specyficznych cząsteczek chemicznych, w tym tworzywa sztuczne.

Mam też parę uwag natury merytorycznej. Najmniej istotną jest sprzeczność pomiędzy tytułem rozdz. 19 „Polimery są wieczne”, a treścią tegoż rozdziału, podsumowaną w zdaniu: „Skonsumowanie istniejących dziś ilości tworzyw sztucznych zajmie setki tysięcy lat, ale ostatecznie cały plastik ulegnie biodegradacji”. Nieścisle jest twierdzenie, że w strefie umiarkowanej powierzchnia lasów ulega powiększeniu jedynie w Nowej Anglii (s. 169), bo podobna re-ekspansja trwa w Europie od Wysp Brytyjskich po Ural. Bardzo dyskusyjne jest zakwestionowanie „stanu pierwotnego lasu”, który jakoby nigdy nie istniał (s. 44), zwłaszcza, że w innym miejscu sam autor dowodzi, iż wszędzie poza Afryką ludzie są „najeźdźcami” likwidującymi stan dawny (pierwotny). Zaprzeczając samemu sobie, A. Weisman nierozważnie zacytował tu modne ostatnio w krajach zachodnich podważanie w ogóle koncepcji pierwotnego stanu przyrody.

Tendencja ta po części wynika zapewne z nieznamomości znaczenia tego terminu, który ukuto dla opisywania przyrody nie noszącej istotnych oznak ludzkiej ingerencji. Potem profesorowie W. Szafer i J. B. Faliński rozwinęli klasyfikację stopni antropogenicznego zniekształcenia szaty roślinnej, poczynając od stanu dziewiczego (brak zakłóceń), poprzez stan pierwotny (z nikłymi zaburzeniami), stan naturalny (półantropogeniczny/półpierwotny), stan kulturowy i wreszcie – zdewastowany. To, że w Zachodniej Europie czy lokalnie na innych kontynentach, nie znajdziemy już stanów pierwotnych, nie oznacza, że nigdzie ich nie ma i nigdy nie było. Takie podważanie częściej bywa jednak zamierzone, służące zarabianiu pieniędzy na „gospodarowaniu” według ludzkiego widzimisię nawet w rezerwatach przyrody. Wybitny leśnik amerykański, Aldo Leopold, taką arogancją ingerencję nazywał zamienianiem lasu (jako ekosystemu) w monokulturową uprawę w rodzaju pola kapusty.

Z zaskoczeniem przyjmuję też rewelację o tym, jakoby znaczne obszary (przesadna ekstrapolacja?) dzisiejszego lasu deszczowego nad Amazonką miały niegdyś być gęsto zaludnione i uprawiane rolniczo przez paleoludzi (wg badań J. Lehmana i innych, 2003). Jak to pogodzić z wiedzą o wahaniami poziomu wód tej rzeki, sięgających 14 metrów amplitudy i corocznie zamieniających część Amazonii w olbrzymie jezioro?

Niepokoi potoczny język użyty w opisach niektórych procesów. Zwłaszcza w swych uogólnieniach autor niekiedy posługuje się mglistymi przenośniami, wskutek czego przekazywana myśl może ulegać zniekształceniu lub stawać się wieloznaczną. Choć bywa i przeciwnie – skutkiem takiego zabiegu wnioski te mogą łatwiej trafiać do wyobraźni stępionej nadmiarem informacji, jak np. w przypadku takiej oto metafory „/.../ wydobywając karboński węgiel i wypluwając go w niebo, sami staliśmy się wulkanem, którego erupcja trwa w sposób nieprzerwany od XVIII wieku”.



Kirkut w Cieszynie. Fot. Krzysztof Wojciechowski

Słabością polskiego wydania jest tłumaczenie nie skonsultowane z przyrodnikami. Skutkiem jest znaczne osłabienie efektu pierwszego rozdziału książki, jako mającego zachęcać czytelników do przeczytania tej cennej pozycji, ale także zepsucie potężnego argumentu, jakim jest uwypuklenie

globalnego znaczenia Puszczy Białowieskiej (de facto tylko jej 17% znajduje się pod ochroną jako polski park narodowy, o czym autor nie wspomina). Już widzę te złośliwe komentarze przeciwników ekologizmu, którym na rękę są błędy tłumacza i nieprecyzyjności autora. Nieścisle jest to, że: a) Puszcza Białowieska to jakoby „ostatnia resztką pradawnej europejskiej nizinnej kniei”, bo rozleglejsze resztki występują też w europejskiej części Rosji (Centralno-Lesnoy Zapovednik k. Tweru) i w Finlandii w postaci lasów borealnych; b) w pierwotnym lesie białowieskim jesiony i lipy mają rzekomo „ogromne korony”, ich wysokość sięga 50 m, a graby tworzą „splątane poszycie”, c) rzekome „bzy z pniami dwumetrowej średnicy” w oryginale chyba były wiązami lub dębami, bo bzy są krzewami; d) ten las czasem rzeczywiście „milczy”, ale nie w okresie wiosenno-letnim, bo wtedy dominuje w nim gwar ptaków; e) szopy pracze w nim nie występują, a jedynie wschodnioazjatyckiego pochodzenia zawleczone jenoty, f) rozwiązanie Związku Radzieckiego podpisano nie w „mieście” Viskuli, lecz w liczącym parę budynków ośrodku o tej nazwie w głębi Puszczy, g) coś niecoś wiemy o sześciu (nie siedmiu) wiekach gospodarowania w Puszczy, a król W. Jagiełło nie był „założycielem” Puszczy, bo istnieje ona od ok. 8000 lat; h) w stanie naturalnym żyje nie 600, lecz ponad 1800 żubrów, i to głównie poza P. Białowieską; i) „dąb czerwony” to zawleczony gatunek amerykański, który w pierwotnej części Puszczy nie występuje; j) hemlock to choina kanadyjska, nie świerk; k) jaskółki nie „lecą za rozsypanym ziarnem”, żywiąc się wyłącznie owadami; l) albatrosy nie „unoszą się nad ziemią”, lecz nad burzliwymi wodami oceanów; m) substancje z dwoma atomami tlenu nazywamy dwutlenkami, nie ditlenkami (s. 178).



Kirkut w Cieszynie. Fot. Krzysztof Wojciechowski

Niespodziewanie książka ma sporo polskich akcentów, poczynając od strony tytułowej, zilustrowanej zarysem warszawskich budowli, przez poświęcenie pierwszego rozdziału opisowi pierwotnego lasu w Białowieskim Parku Narodowym (zilustrowanemu zdjęciem), dalej – opis, jak wykonany z brązu pomnik Władysława Jagiełły znalazł się w nowojorskim Parku Centralnym, aż po wymienienie w podziękowaniach nazwisk sześciu polskich lub polskiego pochodzenia konsultantów i rozmówców. A poniższy fragment zasługuje na zacytowanie w całości, by dotarł do władz i mediów zawzięcie niszczących polskie i białoruskie myślenie oraz działanie proekologiczne, a zwłaszcza do alergicznie nie cierpiących ekologii administratorów leśnictwa, którzy wydali wyrok śmierci na ostatnie pierwotne fragmenty Puszczy pozostające poza parkami narodowymi i rezerwatami: „Wizyta w polskiej i białoruskiej części Puszczy Białowieskiej była jak podróż do Ziemi Świętej. Pragnąłbym, aby każdy Europejczyk mógł odbyć taką pielgrzymkę, zanim to niezrównane przyrodnicze dziedzictwo zostanie pogrzebane. Kieruję swoje podziękowania do Andrzeja Bobca, Bogdana Jaroszewicza i Heorhiego Kazulki – nie tylko za pokazanie mi Puszczy, ale również za wyjątkową odwagę i zasady”. Może przeciwnicy ochrony całej Puszczy zrozumieją, że akceptując lub realizując wyrąb ostatnich naturalnych jej drzewostanów oraz ostatnich starych drzew w jej rezerwach przyrody, postępują równie barbarzyńsko, jak talibowie niszczący posągi Buddy.

Komu zatem trzeba polecić tę ważną, choć trochę zawiłą książkę? Na pewno przyrodnikom, którzy znajdą w niej wiele mało znanych przykładów na degradację przyrody różnych kontynentów, ale i na istnienie sił witalnych, pozwalających jej regenerować się tam, gdzie nacisk człowieka słabnie. Zwłaszcza, że autor unika histeryzowania, gdy opisuje dzisiejszy (mimo tej wstrzemięźliwości alarmującej!) rozmiar zniszczeń i zanieczyszczenia powierzchni planety. Jest też wiele omówień niezwykle ciekawych wyników badań przeprowadzonych przez różnorodnych specjalistów. Z kolei radykalnym „ekowojownikom” polecam ją po to, by przekonali się, iż epatowanie katastroficznymi hasłami o jakoby bliskim zniszczeniu życia na Ziemi lub nawet całej Ziemi, jest bezpodstawne. Nasz gatunek takiej mocy jeszcze nie posiada, chociaż... autor wspomina o obawach, że dwa kierunki badań, wyrwawszy się spod kontroli, mogą w przyszłości doprowadzić do ogromnych zniszczeń w przyrodzie

(niektóre eksperymenty biotechnologiczne lub nanotechnologiczne), a może nawet spowodować nową eksplozję wszechświata (doświadczenia fizyków w wysokoenergetycznych akceleratorach cząstek). Najbardziej jednak chciałbym polecić ją konserwatywnym antyekologom, jakich wielu wśród polityków, administratorów i ludzi mediów. Niewielka jest jednak nadzieja, że ta ostatnia grupa zechce to przeczytać, a nawet jeśli, to czy nie uzna apriorycznie tez autora za „kłamstwo ekologiczne”, takie, jakim wg nich jest np. ewolucja świata żywego, stary wiek Ziemi, masowe wymieranie gatunków, niebezpieczne ocieplenie klimatu, szkodliwość DDT i azbestu itd. Ostentacyjne nie czytanie książek ekologicznych, jako odmiennych ideowo, z czym się spotykam nawet wśród kadry naukowej, dziwnie się przybliża do dawnego palenia tychże.

Wniosek wypływający z tej ważnej książki jest następujący. Na skalę ewolucyjną, przyszłość dzikiej przyrody nie jest na Ziemi zagrożona, bo także po poprzednich pięciu wielkich wymieraniach zdołała ona odbudować swą różnorodność. Choć zajęło jej to po kilka milionów lat. To, co naprawdę jest zagrożone, to przyszłość naszej cywilizacji, silnie uzależnionej od stanu dzikiej i udomowionej przyrody oraz od stanu środowiska. Dla cywilizacji zagrożeniem jest szybka zmiana klimatu, pustynnienie gleb, niedostatek wody słodkiej, genetyczne zubożenie różnorodności rolniczych kultywarów i ras zwierząt domowych, zwiększona łatwość rozprzestrzeniania się epidemii itp. Ale nie wolno zapominać, że to wszystko jest tylko SKUTKAMI działania dwóch przyczyn kryzysu ekologicznego: nadmiernego mnożenia się ludzi biednych oraz oszalałej hiperkonsumpcji i nienasyconej chciwości ludzi bogatych. Dlatego w zakończeniu autor pokazuje wykres J. Bennetta, porównujący dwa możliwe scenariusze demograficzne: a) jeśli płodność na jedną kobietę zostanie obniżona tylko do poziomu nieco ponad 2,0 dzieci, to populacja globalna urośnie do ok. 9 mld w roku 2050, albo też b) gdyby ludzkość zdecydowała się wreszcie zgodnie zalecać tylko jedno dziecko na statystyczną kobietę, to populacja globalna zmniejszyłaby się do r. 2050 o 1 mld, a do r. 2075 o połowę! Wtedy nie byłoby też milionów niedożywionych dzieci na Ziemi, bo stałyby się one najcenniejszą wartością.

Decyzja jest jeszcze w naszych rękach. Albo przeważy rozum (jak przystało na gatunek świadomy swej śmiertelności), albo dogmatyczna wola doprowadzenia do „końca naszego świata”, czyli do zniszczenia cywilizacji, po której zostaną tylko pozbawione nowoczesnej nauki i wyrafinowanych technologii lokalne społeczności rolnicze, dziś egzystujące na obrzeżach postprzemysłowego świata. I tylko dzika przyroda na tysiąclecia stanie się znowu zwycięzcą.

Prof. Ludwik Tomiałojć

Alan Weisman, *Świat bez nas*, Centrum Kształcenia Akademickiego, Gliwice 2007.